



Ludwik Stomma – wykład *Dlaczego artyści lubią Paryż* (Cieszyn 2011). Fot. Mateusz Wajda.

2011

Prof. Ludwik Stomma

1. *Dlaczego artyści lubią Paryż*

7.07, godz. 16.00, Cafe Noiva

2. *Lévi-Strauss – Kopernik nauk społecznych*

8.07, godz. 16.00, Cafe Noiva

Ludwik Stomma – antropolog kultury, publicysta.

Wykładał na UW, KUL i UJ, pracował w Instytucie Sztuki PAN. W 1981 wyjechał do Francji. Od 1983 roku jest profesorem w Ecole Pratique des Hautes Etudes w Paryżu. Autor wielu książek z dziedziny antropologii kultury i nie tylko. Stały felietonista „Polityki”.

Bibliografia najważniejszych, wybranych prac Ludwika Stommy

KSIAŻKI:

1. *Słońce rodzi się 13 grudnia*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1981.
2. *Antropologia kultury wsi polskiej XIX w.*, wyd. I, Warszawa 1986, Instytut Wydaw. Pax; II wyd., rozszerzone, Łódź 2002.
3. *Campagnes insolites*, Verdier, Paris, 1986.

4. (z Tomaszem Dominikiem) *Niezwykłych przygód Baranka Pacanka księga pierwsza*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1994.
5. *Wzloty i upadki królów Francji sposobem antropologicznym wyłożone*, wyd. I: Łódź 1991, wyd. Łódzkie, 1991, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, wyd. II: Warszawa 1994, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, wyd. III: Wydawnictwo Twój Styl, 2004.
6. *Królów polskich przypadki*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1993; II wyd. „BGW”, Warszawa 1995; III wyd. Warszawa 2000, Graf Punkt; IV wyd. Warszawa, Twój Styl.
7. *Antologia poezji głupich i mądrych Polaków w Ludwika Stommy wyborze*, autor wyboru, „BGW”, Warszawa, 1995.
8. *Żywoty zdań swawolnych*, Wyd. Twój Styl, Warszawa 1998.
9. (z Tomaszem Dominikiem) *Kobiet czar...*, Wydawnictwo Twój Styl, Warszawa 2000.
10. *Poczet polityków polskich XX wieku*, Wyd. Graf-Punkt, Warszawa 2000.
11. *Królów polskich i francuskich przypadki*, Wyd. Graf-Punkt, Warszawa 2000.
12. *Słownik polskich wyzwisk, inwektyw i określeń pejoratywnych*, Wydawnictwo Graf-Punkt, Warszawa 2000.
13. (z Ludwikiem Lewinem) *Paryż za dwa Ludwiki. Przewodnik po Paryżu cieni i smaków*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1995.
14. *Nalewka na czereśniach*, wybór felietonów z „Polityki”, Wydawnictwo Sens, Poznań 2000.
15. *Życie seksualne królów Polski i inne smakowitości*, Wyd. Twój Styl, Warszawa 2002.
16. *Paryskie spacer*y, Wydawnictwo Twój Styl, Warszawa 2003.
18. *Z owsa ryż. Po co nam Francja?*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2003.
19. *Dzieje smaku*, Wydawnictwo Sens, Poznań 2004.
20. *Francuska miłość*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2004.
21. *Sławnych Polaków uczucia i śluby*, Wydawnictwo Sens, Poznań 2004.
22. *Sławnych Polaków choroby*, Wyd. Tower Press, Gdańsk 2004.
23. *Polskie złudzenia narodowe*, Wydawnictwo Sens, Poznań 2006.
24. *Polskie złudzenia narodowe. Księgi wtóre*, Poznań 2007.
25. *Choroby i dolegliwości sławnych ludzi*, Literatura Net Pl, Gdańsk 2007.
26. *Skandale Polskie*, Wydawnictwo Demart, Warszawa 2008.
27. *A jeśli było inaczej... Antropologia historii*, Wydawnictwo Sens, Poznań 2008.
28. *Kultura zmienną jest*, Wydawnictwo Sens, Poznań 2009.
29. *Historie przecenione*, Wydawnictwo Iskry.

30. *Historie niedocenione*, Warszawa 2011, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2011.
31. *Nasza różna Europa*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2012.
32. *Stommowisko. O mojej rodzinie i o mnie*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013.
33. *Antropologia wojny*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2014.
34. *Piereocennyje sobytia istorii Kak sasadajutsia legendy*, Moskwa 2014 (patrz okładka niżej).

OPRACOWANIA:

1. *Tematy, które mi odradzano – Jan Stanisław Bystron*, Warszawa 1981, PIW.

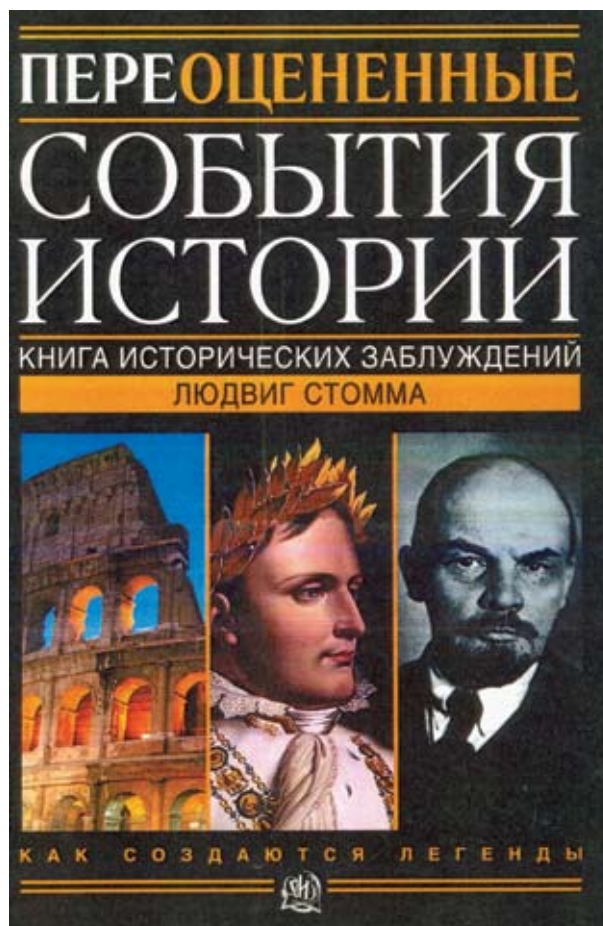
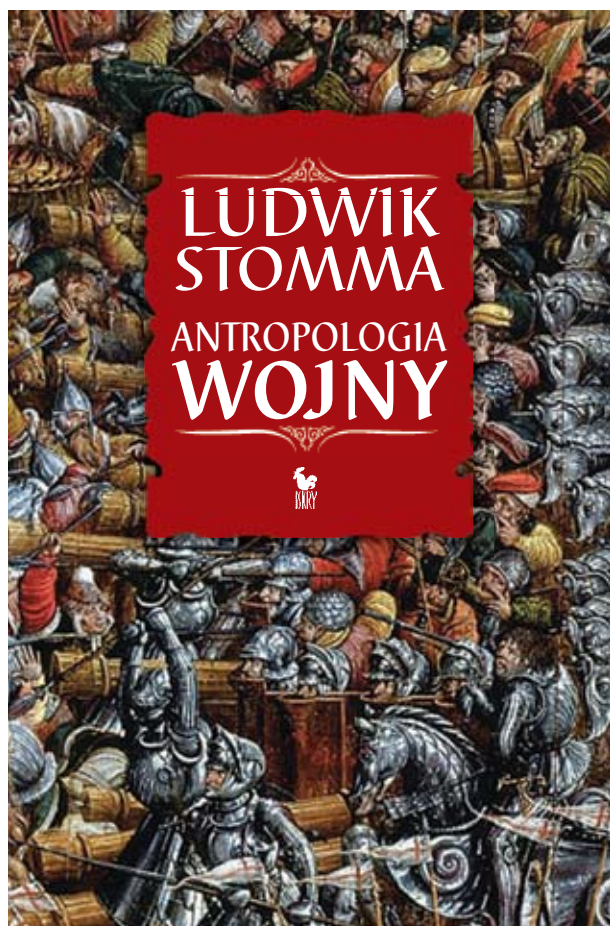
W PRACACH ZBIOROWYCH:

1. *Bikila Abebe*, [w:] *Nasz język. Nasz Świat*, WSP, Warszawa 1978.
2. *Metoda strukturalna w etnologii*, [w:] *Metody etnologii*, Wyd. UW, Warszawa 1981.
3. *Polska kultura ludowa w XIX w.*, [w:] *Uniwersalizm i swoistość kultury polskiej*, Wyd. KUL, Lublin 1989.
4. *Hugon Capet, czyli początek i Ludwik XI, czyli o uczciwości*, [w:] *Socjologia a antropologia*, Wyd. Wiedza o Kulturze, Wrocław 1992.
5. *Ethnologue slave*, [w:] *Ethnologue europeéne*, Pleiade, Paris 1995.

6. *Strukturalizm w odosobnieniu*, [w:] *Antropologiczne wędrówki po kulturze*, Wyd. Fundacja Humaniora, Poznań 1996.
7. *Trzydzieści biogramów* [w:] Isabelle Bricard, *Leksykon śmierci wielkich ludzi*, Wyd. KiW, Warszawa 1998.
8. *Procesy światowe. Wydarzenia, które wstrząsnęły światem. Rzeźby. Współcześni naukowcy polscy. Święci. Słynne zgony.*
9. *Stworzenia mityczne. Współcześni politycy polscy. Pojęcia antropologii kultury. Słynne procesy polskie. Słynni ludzie wiary*, [w:] *Podręcznik obytego Polaka*, Wyd. Sens, Poznań 2004.
10. *Strukturalizm*, [w:] *Filozofia współczesna*, PWN, Warszawa 2006.

PRZEDMOWY [w:]

1. Adam Michnik, *Penser la Pologne*, Maspero, Paris 1983.
2. Claude Lévi-Strauss, *Smutek tropików*, Wyd. Opus, Łódź 1992.
3. Francesco Goya, *Desastres de la guerra*, Katowice 1993.
4. Wojciech Burszta, *Czytanie kultury*, Wyd. UAM, Łódź 1996.
5. Roman Wrocławski, *Czy to prawda?*, Białystok 1997.
6. Jan Nowicki, *Między niebem a ziemią*, Gdańsk 2000.
7. Adam Bartosz, *Nie bój się Cygana*, Pogranicze, Sejny 2004.
8. *Podręcznik obytego Polaka*, Wyd. Sens, Poznań 2004.
9. Olga Lipińska, *Jeszcze słycać śmiech*, Warszawa 2013.
10. Jan Nowicki, *Białe walce*, Warszawa 2014.



Antropologia wojny

*W uroczystą rocznicę,
która zawsze się znajdzie*

(Wstęp)

Najgłupsze zdanie, a przez sześćdziesiąt pięć lat życia błazeństw przeczytałem niemało, znalazłem w *Pamiętnikach* Władysława Mickiewicza, syna wieszcz: „Wojna jest tak samo niezbędna w polityce, jak chirurgia w medycynie”. Niewiele oddala się od Mickiewicza juniora Carl von Clausewitz, twierdząc, że „wojna jest przedłużeniem dyplomacji”. Są to absurdy moralne i logiczne. Nie ma i nie może być jakiegokolwiek ciągłości między dyskusją, grą ekonomiczną a mordem.

Urodzony w 1950 roku, należę do tego szczęśliwego pokolenia, które nie zaznało wojny, powstań ani rabacji. Owszem, przeżyłem „zimną wojnę”, ale była ona właśnie „zimna”. Ogromnie wiele zła było dookoła, nie musiałem się jednak martwić, że mama nie wróci już nigdy do domu, kiedy wyszła po zakupy. To właśnie jest to minimum ludzkiego bezpieczeństwa, kiedy można wierzyć w świat w miarę stabilny, nie zdany na pastwę wszechwładnych ludożerczych potworów.

Z wojną jedyny raz w życiu spotkałem się w Czadzie. Właściwie nie z samą wojną, ale z jej zaszłości: widziałem spuchnięte z głodu, okaleczone dzieci, dla których nie było już żadnej pomocy, kobiety z wyschniętymi na bibulkę piersiami, mężczyzn, często beznadziejnie rannych, których nikt nie opatrzy, a oni sami znajdują sens życia już tylko w bezsilnej nienawiści. Fakt, nie byłem na rzeczywistej wojnie – nie świszczały mi kule nad głową. Ale może właśnie dlatego mam prawo do „spojrzenia oddalonego”, jak to określał Claude Lévi-Strauss (*Le regard éloigné*, Paris 1983), w którym nie będą dominować osobiste pasje, przerażenia, fascynacje, dzięki któremu można oglądać wojnę jako zjawisko społeczne niczym wiejskie wesele, albo funkcjonowanie błazna u pigmejskich Mbuti.

„Renomowany Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem (SIPRI)” – podaję za ministrem Radosławem Sikorskim („Gazeta Wyborcza” z 3 września 2014 r.) – „który śledzi konflikty zbrojne od pół wieku,

definiuje wojnę jako konflikt zbrojny, w którym ginie co najmniej tysiąc osób”. Niech będzie, że dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ofiar to jeszcze nic wielkiego, ale plus jedna i zaczyna się prawdziwa wojna. Warto jednak zauważyć, że SIPRI definiuje zdarzenie w kategoriach ilościowych rozmiarów mordu. Nie bez kozery. Każda wojna, obronna czy agresywna, sprowadza się ostatecznie do obustronnego mordu. Wygra ten, kto ma możliwości i wykorzysta je, by zabijać lepiej i skuteczniej. Teoretycznie działania wojenne powinny być więc, bardziej niż jakkolwiek inna dziedzina życia, domeną konsekwentnego racjonalizmu – w końcu chodzi o naszą skórę i nasze fizyczne istnienie! Analizujemy siły i słabości przeciwnika i na tej podstawie uderzamy nie tu, ale tam, tymi, a nie innymi siłami, w ten, a nie odmienny sposób. Tymczasem nic z tych rzeczy. Mord jest czynem brutalnie zwierzęcym. Człowiek uważa się jednak za kreaturę wyższą – *homo sapiens*. Śmierć i akt jej zadawania mają więc dla niego nie tylko charakter zwierzęcy, czy wynikający z przyziemnej walki o byt, ale także wymiar metafizyczny. Nie próżno ojcowie etnologii Lewis Henry Morgan, Edward Burnett Tylor czy Leo Frobenius uważali, że pierwsze obrządki ludzkości związane były ze śmiercią, a podstawą wszelkich religii jest obietnica życia pozagrobowego. Mord wojenny nie mógł umknąć tej logice. Musiał znaleźć *sens* wyższy niż walka o lepszy ochłap padliny czy dostęp do rzeki, albo kobiece ciało. Od zarania dziejów wojna obrasta więc w ideologię, staje się obrzędem i chwałą zwycięzców.

Legenda powiada, że Romulus, założyciel wiecznego Rzymu, widząc w swoich szeregach niedostatek płci niewieściej, powziął – jak pisze Tadeusz Zieliński (*Rzeczpospolita rzymska*, Warszawa 1958) – plan następujący: „oznaczył dzień święta i igrzysk na cześć boga zasiewów Konsusa i zaprosił na tę uroczystość swoich sąsiadów. Ponieważ odmowa byłaby równoznaczna z obrazą bóstwa, przybyli zaproszeni, a wśród nich mieszkańcy pobliskiego miasta Cures należącego do plemienia Sabinów, wraz ze swymi żonami i córkami. Na to właśnie liczył Romulus. W czasie igrzysk Rzymianie na dany przez niego znak rzucili się na młode uczestniczki i uprowadzili je do swoich domów”. Stawiających opór narzeczonych, mężów, ojców i braci wyróżniło oczywiście w pień. Owo „porwanie Sabinek”, akt bezprzykładnego wiarołomstwa i zbrodni, rzymski historyk usprawiedliwia „intereseм ojczyzny”. Skądinąd, jak można się domyślić, w jego wersji „Sabinki szybko pogodziły się ze swoimi nowymi mężami”. Rocznicą udanego kidnapingu stała się na długo rzymskim świętem. To drobny przykład, jak można później, aż po nasze dni reinterpretować akty gwałtu i wojennej pożogi. Sabinów nikt o zdanie nie pytał, zresztą zostali eksterminowani lub zromanizowani do połowy II wieku p.n.e.

Żołnierski fach jest, obiektywnie rzecz biorąc, zawodem zabójców. Nie po to uczy się poborowego obsługiwać karabin, żeby strzelał w powietrze na wiwat. Nie po to wymóżdża się go musztrą, żeby miał wątpliwości.

W zamian dostanie przeświadczenie, że jest „obrońcą ojczyzny” (mordowały się już wzajemnie watahy neandertali, niemających żadnego pojęcia o przynależności terytorialnej), zawisną na jego piersi odpowiednie breloczki (za męstwo, liczbę odstrzałów i inne niebывale sprawności) i mundur. Ponoć „za mundurem panny sznurem”, kiedyś złoto-kirasjerski, zdobny w barwy i pióropusze, dzisiaj sparszywiały do jednokolorowych (w Polsce zielonych) garniturów i płaszczy. Ale zostają jeszcze proporce, sztandary, defilady, kompanie honorowe, hierarchia, orderzy... Wojsko obrasta w mit, w który samo zaczyna wierzyć i skutecznie narzucać go społeczeństwu.

Oczywiście, w świecie, w którym zagraża nam przeemoc, musimy i my wystawić chorągwie dla naszej obrony, a choćby i „prewencyjnego” (w XX wieku nie było bodaj innych) ataku. Ważne jest tylko, żeby za każdym razem stworzyć konstrukcję intelektualną, mityczną, udowadniającą, że nasze działania są słuszne, niezbędne i przede wszystkim racjonalne. Ach ten żołnierski racjonalizm! Jego drobnym, ale istotnym przykładem może być tak zwany krok defiladowy. Jest to wojskowa prestacja operetkowa niemająca żadnego uzasadnienia obiektywnego. Nikt przy zdrowych zmysłach tak nie chodzi ani nie maszeruje. W wersji polsko-rosyjskiej jest on szkodliwy dla mięśni nóg, o czym zaświadczyć może każdy żołnierz kompanii honorowej. Poświęćmy już jednak jakąś liczbę młodych kończyn dla dobra spektaklu. Cyrk piękny ma być! Po co jednak wdrażać godzinami, dniami i miesiącami do tej absurdalnie wyimaginowanej gimnastyki dziesiątki tysięcy rekrutów? Toż w tym samym czasie można by uczyć wojaków rzeczy użytecznych na ewentualnym polu walki – maskowania się, skradania, okopywania... Jedynym „logicznym” wytłumaczeniem byłby tu łoskot butów.

Znów buty, buty, buty, tupot nóg,
I ptaków oszalałych czarny wiatr.
Kobiety stają u rozstajnych dróg,
Piechocie odchodzącej patrzą w kark.

Tak śpiewał Bułat Okudźawa, ale grecka kompania honorowa odbywa militarny balet w bezszmerowych, miękkich walonkach. Desmond Morris tłumaczy – najwyraźniej Greków nie wziął pod uwagę – że łoskot butów odgrywa taką samą rolę jak uderzanie pałkami w plastikowe tarcze oddziałów specjalnych tłumiących manifestacje. Złowrogi rumor dodaje hałasującym pewności siebie, a jednocześnie osłabia ducha przeciwników. Czyli, zacytujmy raz jeszcze Okudźawę:

Dziatwie imperialnej śniło się o zmierzchu
Wciąż to samo: gdzieś tam
Ktoś tam przed nią pierzcha.

Ale i to nie przekonuje. Gdyby tak było, wojsko ruszałoby do ataku *parademarschem*. W ciągu wieków wielokrotnie zbliżano się do tego ideału. Do jego pełnej realizacji jak na razie jednak nie doszło. Jak więc

wytłumaczyć krok defiladowy? Przez stulecia wojna tak jak religia, wojownicy jak kler, obrastali rytuałami, wymyślonymi i przedziwnymi ceremoniami, dystynkcjami, „świętymi prawami”. Nauczający w katakumbach święty Piotr ubrany był tak samo jak jego słuchacze-wyznawcy. Do głowy mu nie przyszły fiolety i czerwienie, piuski i kapelusze, złote łańcuchy i pierścienie. Podobnie Leonidas pod Termopilami nosił krótką tunikę bojową, jak wszyscy jego Spartanie. Byłby zapewne zdziwiony, widząc współczesnego nam generała ze sznurami, epoletami, lampasami i orderami od ramienia do pępka. Rewolucja październikowa w myśl doktrynerskiej urawniłowki zniosła hierarchiczne wyróżniki. Nie na długo. Za bardzo zakłócało to liturgię – a w konsekwencji i religię – wojny.

Książka ta nie jest w żadnym przypadku jakimkolwiek manifestem pacyfizmu. Nie zawiera także żadnych podtekstów politycznych. Co więcej, nie ma w niej szkiełka i oka zadowalających analiz zjawisk, acz cieszyłbym się bardzo, gdyby była do nich zaproszeniem. Chciałbym tylko pokazać, jak dalece mit wygrywa z jakimkolwiek racjonalizmem, jak kpi z rzeczywistości dziejów. Wojna, wbrew jej sztabom i teoretykom, jest bezsensu i zawsze wymyka się ich kontroli – to jedno. Wojna stała się religią i zawodem swoich kapłanów żyjących w mitologii. Ongiś, w idealistycznej epoce przed pierwszą wojną światową, zebrali się w Hadze przedstawiciele dwudziestu sześciu państw, żeby przez ponad dwa miesiące (od 18 maja do 29 lipca 1899 roku) radzić, jak ucywilizować wojnę. Potem spotkali się raz jeszcze, żeby uchwalić (18 października 1907 roku) aneks do poprzednich uchwał. Tak powstał rzekomy dekalog wojny, który nie tylko nie brał pod uwagę nowych narzędzi zniszczenia, ale przede wszystkim z góry zakładał niemożliwe. We wszystkich wojnach przestrzega się dżentelmeńskich pozorów („prawa wojny” to absurd sam w sobie) dopóki zwyciężamy, albo jest to dla nas bilateralnie korzystne czy też niezbędne. Konwencja haska stanowiła na przykład, że jeńcom wojennym zapewnia się przyzwoite życie w obozach odosobnienia, wikt i opierunek. I rzeczywiście, tak działo się częściowo z polskimi i alianckimi oficerami uwięzionymi po 1939 czy 1940 (Józef Kuropieska, *Obozowe refleksje Oflag IIC*, Kraków 1985) w niemieckich oflagach. Nie dotyczyło to już jednak jeńców rosyjskich mordowanych w Oświęcimiu lub zostawianych w ogrodzonych zonach na nieuniknioną śmierć głodową. I *vice versa* – Niemców kapitulujących pod Stalingradem zsyłano do najstraszniejszych obozów GUŁ-agu. Dodajmy jeszcze tylko, żeby nie nudzić przykładami, traktowanie jeńców brytyjskich czy amerykańskich przez Japończyków, japońskich przez Chińczyków, polskich przez Rosjan w latach 1919–1921, a rosyjskich przez Polaków podczas tej samej wojny. Zrzucając bombę atomową na Hiroszimę, Amerykanie ani przez chwilę nie troszczyli się o konwencje haskie. Podobnie podczas nalotu na Drezno, w którym – o czym napastnicy doskonale wiedzieli – nie było żadnych istotnych struktur militarnych,

nikt nie brał pod uwagę strasliwej tragedii cywilów; przeciwnie, chodziło właśnie o sterroryzowanie ludności cywilnej. I odwrotnie, cóż wyprawiali hitlerowcy na Woli podczas tłumienia powstania warszawskiego, jak traktowali oznakowane szpitale od Płońska po Leningrad? Było wiadomo od początku, że szlachetne mrzonki haskie nie mają nic wspólnego z realiami mordy. Dlaczego więc powstały i po co z budżetów kilkudziesięciu państw wysuplano pieniądze na realnie nic nieznaczącą operetkę? Jedynie adekwatną wydaje się odpowiedź, że chodziło o przesłonięcie rzeczywistości *sui generis* liturgią, albo, jak kto woli, ideologią. Umożliwienie wpojenia społecznego przekonania, że my bijemy się czysto i szlachetnie, zaś oni zbrodniczo i przemieszają, co w nich by się nie zmieniło, gdybyśmy mieli środki przedstawiające proporcje sił. Ostatecznie (to już poza Hagą) możemy w dyskursie politycznym przyznać, że mieliśmy durnych generałów, co nie oznacza rzecz jasna, że oni mieli lepszych. O tyle to słuszne, że strzałki wyrysowane na ich mapach stałyby się bezpodstawne, gdyby zerwała się burza i zmieniła drogi w bagniska.

Zadaniem antropologa kultury jest dziwienie się. Spoglądanie z bolesną uwagą na przyjęte kanony myślenia, demaskowanie mitów. Kontradmiralowi Mikłosowi Horthyemu de Nagybanya tę książkę poświęcam. To prawda, że w swoim czasie Cesarstwo Austro-Węgierskie miało dostęp do Adriatyku. On, specjalista od manewrów krążowników, pozostał jednak na czele państwa jak dyktator i nieomylny wódz naczelny nad Balatonem zbyt płytkim, by mogły po nim pływać choćby niszczyciele. Skromniejsi Czesi, Szwajcarzy i książęta Lichtensteinu nie głoszą dotąd chwały swoich pogromców mór. Wyjątkiem są może białogwardziści czczący pamięć Aleksandra Kołczaka. Na morzu był ponoć wielkim dowódcą floty czarnomorskiej, na lądzie powodziło mu się już jednak gorzej, chociaż też nie wyznawał konwencji haskich. Wydali go bolszewikom Czesi, co ocenione zostało przez wielu historyków, sam Lew Trocki wspomina o tym z zażenowaniem, jako akcie wiarołomstwa i zdrady. Tymczasem był to w szaleńczej rosyjskiej wojnie domowej jeden z nielicznych czynów racjonalnych. Oddziałów czeskich nie musiała obchodzić ta rzeź, w której nie przestrzegano żadnych praw haskich, ludzkich czy kościelnych ani żadnych przysiąg (przypomnijmy dla przykładu, że generał Michaił Nikołajewicz Tuchaczewski, kat Uralu, dowódca wojsk czerwonych idących na Warszawę w 1920, był przedtem carskim oficerem i pieczętowanym arystokratycznych salonów). Cena głowy Kołczaka w zamian za możliwość wyrwania się z krwawego młyna i powrót do domów nie wydawała się i obiektywnie nie była wygórowana. Tak to interpretuje antropolog, który wie, że wojna to krwiożercza, zabójcza, przerażająca gra, jej zasady mają się nijak do cywilno-pokojowych dekalogów, praw człowieka i obywatela zawartych w tamtym odległym, przedwojennym czasie umów, przysiąg

i zobowiązań. Kultura ludzka nie znosi jednak chaosu. Opuszczając moralność czasów niezbydlęconych, coś jednak tworzymy na jej miejsce. Czas mordy ma też swoją strukturę. Jej zrozumienie winno być wyzwaniem dla antropologów. Ta książka nie daje odpowiedzi. Jest tylko przyczynkiem do wątpliwości. Jeżeli ktoś podejmie wyzwanie, będzie to już krok naprzód. [...]

Wojna nieuchronna

Lekarz leczy – chorych na świecie nie brakuje i niestety nie zanoszą się na to, żeby zabrakło. Policjant łapie przestępców – ci również plenią się w każdym czasie i, wbrew utopijnym obietnicom Fryderyka Engelsa, w każdym ustroju. Grabarz to jeden z najbezpieczniejszych zawodów na świecie, tym bardziej, że przy ewentualnej ewolucji obyczajów może się przekwalifikować na palacza w krematorium. Dekarz będzie niezbędnym, dopóki ludzie tęsknić będą za zakątkiem, w którym na głowę nie leje im się deszcz albo sypie śnieg. Stolarz, murarz, artysta, astronom, garncarz, hutnik, filozof, położna, cyrkowiec, geograf, -log, -deta, -fizyk, -metra... W przeciwieństwie do nich wszystkich sens zawodu wojaka uzależniony jest od koniunktury zewnętrznej: będzie wojna czy nie. Polski oficer wracający z Afganistanu opowiada w wywiadzie, jakim to błogosławieństwem dla armii polskiej jest sprawdzenie żołnierzy w realnych warunkach bojowych, gdzie sika prawdziwa krew i miny kaleczą najprawdziwsze ludzkie mięso. Jeżeli to nawet prawda, i tak nie dopowiada tego, co naprawdę najistotniejsze. Że oto mógł przeżyć tę chwilę, bez której jego życie zawodowe, musztry, szkoły, manewry nie miałyby najmniejszego sensu. Był z wrogiem oko w oko, zabijał i mógł być zabity, kule świszczwały i podnosiły tumany pustynnego piasku w szaleńczej scenografii. Gdyby nie to, gdyby nie te szczęśliwe dni...

Cóż za nudą i rozczarowaniem jest dla zawodowego żołnierza siedzenie przed stołem z rozłożonymi mapami i rysowanie na nich planów operacji, które i tak nigdy się nie odbędą, a jeśli nawet, o czym świadomy oficer wie, będą miały zupełnie inny przebieg od wymyślnego w sztabach. Owszem, aby choć nieco rozładować tę frustrację, armie wymyślają manewry, parady, defilady, uroczyste zmiany warty etc. Są to jednak zawsze namiastki albo teatryki, czego ich inteligentniejsi uczestnicy są w pełni świadomi i pogłębia to tylko ich gorycz. We wrześniu 1941 roku, wobec przedłużającej się wojny w Europie i rosnącego zagrożenia japońskiego, odbyły się w Luizjanie pierwsze w dziejach Stanów Zjednoczonych manewry, w których zetrzeć się miały dwie armie. W pierwszej fazie siły generała Leara zostały tak przedwcześnie otoczone i skazane na „unicestwienie”, że rozjemca, generał McNair, pospiesznie zakończył pierwszą fazę przebiegających niezgodnie z przewidywaniami ćwiczeń. „W fazie drugiej – pisze Carlo d’Este – która rozpoczęła się tydzień później, 2. Pancerna [dowodzona przez

Pattona – L.S.] była częścią atakujących sił «niebieskich» Kruegera. Ich zadaniem było zajęcie Shreveportu i pokonanie «czerwonych» Leara broniących miasta. Pierwotny plan przewidywał atak czołowy, lecz gdy Lear uchylił się od walki, Krueger zdecydował się na śmiały atak na skrzydło przy pomocy I Korpusu Pancernego, którego czołową była 2. Pancerna. Dywizja rozpoczęła 560-kilometrowy marsz, aby oskrzydlić siły «czerwonych». Ten manewr zaprowadził Pattona do Teksasu, po czym skierował on swoje czołgi na północ, a następnie na wschód, aż dostał się na tyły armii Leara i mógł zaatakować Ahreveport z przeciwnej strony. Gdy powódź zniszczyła najważniejszy most, droga do przebycia wzrosła do prawie 650 kilometrów (...). Patton kierował swoją dywizją, łącząc strzelanie z bata z osobistym przykładem i entuzjazmem. Gdy jego czołgom zabrakło benzyny, kazał im tankować w miejscowych stacjach benzynowych, płacąc gotówką (być może z własnej kieszeni). Robiąc 650-kilometrowy zagon, czołgi wyjechały poza ustalone tereny manewrów. Przeciwna strona podniosła krzyk, że Patton zignorował reguły. W odpowiedzi uśmiechnął się tylko i zauważył, że nie słyszał, aby wojny były toczone według jakichś reguł”. Uśmiechał się niedługo. „McNair zarządził przedwczesny koniec ostatniej fazy manewrów po zaledwie pięciu dniach”. Honor choćby i fikcyjno-manewrowego zwycięstwa ominął niezdyscyplinowanego generała. Ciekawe, że krytykom oskarżającym go o „nieliczenie się z zasadami taktyki”, czyli papierkowym planem, nie przyszło do głowy, że na polu prawdziwych bitew trudno być może o zaopatrzone stacje benzynowe i w tym, a nie zahaczeniu o Teksas, zasadzała się być może nierealność Pattonowej szarży. Co jednak wykreślono w sztabowych schematach, najważniejsze było i jest z tego chociażby powodu, że inaczej tysiące sztabowych kreślarzy straciłyby rację bytu. Arthur Harris pisze: „Przez blisko dwadzieścia lat obowiązywała u nas zasada, która skuteczniej niż cokolwiek innego zadecydowała o naszym braku gotowości do wojny. Była to niesłuszna «Zasada Dziesięciu Lat». Po wojnie lat 1914-1918 szefowie sztabów poprosili o wytyczne co do organizacji i planów wobec trzech rodzajów broni. Powiedziano im, aby planowali w oparciu o założenie, że przez dziesięć lat nie będzie żadnej wielkiej wojny. Było to proste i w owym czasie zupełnie logiczne rozumowanie. Jednak ta zasada obowiązywała rok po roku i nikt nie doszedł do logicznego wniosku, że kolejne plany należało opierać, biorąc poprawkę na to, że żadnej wielkiej wojny nie będzie w ciągu dziewięciu lat, w ciągu ośmiu i tak z każdym rokiem, aż do roku zerowego. Dopóki Hitler nie doszedł do władzy, nie liczono się z upływem lat i każdy mijający rok brano za pierwszy z dziesięciu”. Czyta się i aż wierzyć się nie chce. „Nikt nie doszedł do logicznego wniosku”, który sformułować bez trudu umiałoby siedmioletnie dziecko. Z jaką zdumiewającą łatwością przechodzą nad tym do porządku dziennego historycy, ale i sami wojskowi. W końcu grudnia raportuje do Waszyngtonu późniejszy prezydent, generał Dwight D. Eisenhower, że dotychcza-

sowe działania wojsk amerykańskich w Afryce Północnej „pogwałcili wszystkie uznane reguły prowadzenia wojny i są w niezgodzie ze wszystkimi metodami operacyjnymi i logistycznymi opisanymi w podręcznikach”. Nie zdobywa się jednak na rozstrzygnięcie, kto ma rację: rzeczywistość czy podręczniki. Szczęśliwy jest już generał Terry de la Mesa Allen, kiedy oświadcza: „Ile papieru zmarnowały te gryziopórki, które zapisują tysiące stron o wojnie, nie mając o niej pojęcia i nigdy nie zaznawszy”. Podsumowuje zaś Fernand Braudel, pisząc o zimie, która w XVI wieku uniemożliwiała wszelkie działania wojenne w basenie Morza Śródziemnego (*Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, Gdańsk 1976): „Rozrastają się niezmiernie prace sztabów: zima to okres przygotowywania plików akt. Powiedzielibyśmy chętnie: akt zimowych, z których historycy korzystać muszą zawsze z wielką ostrożnością. Nie ma nic pilnego. Jest dobra okazja, by dyskutować, przewidywać i wreszcie tworzyć na papierze. Oto, co należałoby czynić, gdy nastąpi to czy owo; natomiast jeśli Turcy bądź jeśli król Francji... I wielkie stronicę pokrywa czernią atramentu... Śmiałe pomysły, cudowne plany, analizowane przez historyków z szacunkiem i przekonaniem o ich wadze, ale dojrzewające w ciepłej polanie płonącego w kominku lub piecyku w szczelnie zamkniętym pomieszczeniu, podczas gdy na zewnątrz, w Madrycie czy gdzie indziej, szaleje *cierzo*, śnieżna zadymka, która nadciągnęła z gór! Wówczas żadne przedsięwzięcie nie wydaje się zbyt wielkie, zbyt śmiałe... Blokada Niderlandów, pozbawienie ich soli, wykupienie całej pszenicy hanzeatyckiej, którą się żywią, zamknięcie im dostępu do portów Hiszpanii – są to wszystko projekty zimowe (...). Wszystko jest przewidziane, ale jakże często nie zostaje wykonane! Nieszczęśni sztabowcy, jeżeli tylko wyrastają nad poziom tępych wykonawców, rozumieją to boleśnie. Gdyby zresztą któraś z ich koncepcji miała być kiedykolwiek wdrożona, to i tak poddana zostanie, jak to staraliśmy się wykazać od pierwszej bodaj strony tej książki, nieubłaganym prawom Murphy’ego”.

„Prawa Murphy’ego” (autorstwa nie udało mi się ustalić, różne źródła wysuwają sprzeczne propozycje, a i sam tekst ma wiele wersji) to zbiór zasad dla prowadzących działania wojenne, niezwykle popularny wśród żołnierzy Ententy podczas pierwszej wojny światowej, ale wspomina o nim i generał pułkownik Heinz Guderian we *Wspomnieniach żołnierza* (Warszawa 2003). W najbardziej rozpowszechnionej wersji pierwsze cztery prawa Murphy’ego przepowiadają, iż: „I. Jeżeli coś ma się zepsuć – zepsuje się na pewno. II. Nic, co wydaje się łatwe, nie jest łatwe. III. Zrobienie czegoś zawsze zabiera więcej czasu, niż planowano. IV. Kiedy myślisz, że ktoś jest w tym miejscu, które przewidywałeś, on na pewno jest w innym”, etc., etc. Żołnierze, przede wszystkim sztabowcy, zdają sobie z tego sprawę. A potem przychodzi taki marszałek polny sir Bernard Montgomery, który oświadcza: wyrzucie te teorie do śmietnika. I sekunduje mu Patton: „Wojna rozgrywa

się nie w biurach i na mapach, ale w polu, gdzie nie ma z nimi nic wspólnego”. Cóż mogą na to odpowiedzieć odarci z godności i sensowności swojej pracy umundurowani czasów dyplomacji i pokoju? A rzecz rozgrywa się nie tylko na poziomie intelektualnym, ale także doczesnym i finansowym.

Elementarna kwestia sprawdzania się i mnożenia pensjonatów gwiazdek na ramionach. Porucznik George Patton w ciągu roku walk na frontach pierwszej wojny światowej awansował na pułkownika. Potem przestój, beznadzieja i stres. Warto przeczytać, jak tragicznie przeżywał nieznośny czas pokoju. Na szczęście wybuchła kolejna wojna. Od początków 1941 do 1944 roku awansuje cztery razy, dochodząc na szczyty amerykańskiej hierarchii wojskowej. Nie jest w tym względnie żadnym wyjątkiem. We wszystkich armiach zaangażowanych w działania wojenne pierwszej i drugiej wojny światowej błyskawiczne awanse, nawet z pominięciem rang pośrednich, były na porządku dziennym. Dotyczy to również drugorzędnych konfliktów lokalnych i nie jest bynajmniej specyfiką naszych czasów. Francuskie wojny rewolucyjne, a później napoleońskie stworzyły całą kastę młodziutkich generałów triumfujących na salonach Paryża. Nie inaczej w Rosji. Wasilij Czapajew, stając na czele 25. czerwonej dywizji, ma zaledwie trzydzieści lat. Michaił Tuchaczewski, dowodząc frontem w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, w randze marszałka, miał lat dwadzieścia siedem. Nie inaczej w Niemczech. Przypomnijmy tylko Adolfa Gallanda, który zostaje generałem w wieku dwudziestu dziewięciu lat (listopad 1941). Tyle że do tego potrzebna jest wojna. Bez niej upływają beznadziejne lata administracyjnie wyznaczone. W wojskach NATO, o ile nie zdarzy się jakaś serbska gratka, awans z porucznika na kapitana trwa średnio trzy-cztery lata. Nieco dłużej z kapitana na majora. Potem (coraz dłużej i dłużej) podpułkownik, pułkownik... Bez szczęśliwego przypadku lub wyjątkowych układów, nim przyjdą generalskie gwiazdki, rosa oczy wyje.

Marzenie o wojnie jest więc niezbywalną treścią życia każdego ambitnego wojaka. Rzecz w tym, że wojaków są w każdym szanującym się kraju dziesiątki tysięcy. Chcąc nie chcąc, w obronie swoich interesów i elementarnej godności tworzą oni lobby, czekają na okazję. Nie da się pójść na Wilno, to chodźmy przynajmniej do Kabulu albo Bagdadu. Wszystko da się jakoś uzasadnić i usprawiedliwić.

Postawię ryzykowną tezę, że dzieje ludzkości (nie mówię oczywiście o rozpaczliwym oporze napadniętych) nie dostarczyły nam ani jednego przykładu wojny, która miałaby sens, w której osiągnięte korzyści przerosłyby cenę krwi, nienawiści, gwałtu i zniszczeń. Gorzej jeszcze – wojny, która nie okazałaby się absurdem i nie wymknęła z rąk i planów ją rozpętujących. Mówiąc „wojna”, nie mówimy tylko o nieszczęściu i krzywdzie, ale przede wszystkim o totalnym, umyka-

jącym rozumowi absurdzie. Tym niemniej jednak wojny będą, dopóki będą żołnierze i uroczę powiedzonka typu: „za mundurem panny sznurem”.

Marsz żołnierzy Langiewicza:

Jak to na wojence ładnie, (bis)
Kiedy ułan z konia spadnie. (bis)

Koledzy go nie żałuj (bis)
Jeszcze końmi go tratują. (bis)

Rotmistrz z listy go wymaże (bis)
Wachmistrz trumnę zrobić każe. (bis)

A za jego młode lata (bis)
Grają trąby tratatata. (bis)

I tak dobrnęliśmy na szczyty idiotyzmu. Tratatata.

W amerykańskim serialu *Przestępcze umysły* w reżyserii Johna F. Showaltera (sezon 2, 17/23) jeden agent FBI mówi do drugiego: „Archeologowie twierdzą, że pierwsze wojny między *homo sapiensami* miały miejsce już sto tysięcy lat temu. Niestety nic nie wiemy o ich przebiegu, gdyż ludzkość nie знаła jeszcze pisma”. Nie będę się kłócił o liczbę tysięcy lat. Jedno jest pewne: agent się nie myli. Wojna ważniejsza jest dla ludzkości niż pismo! Możliwość komunikowania się między ludźmi, nie daj Boże, niezupełnie identycznych poglądów, za pośrednictwem parszywego kawałka papieru ułatwia podawanie w wątpliwość naszych czarno-białych racji. Wszelkie ułatwienia komunikacji umożliwiają wkroczenie na arenę jakichś naiwnych pismaków, kreślących niebrojne litery o abstrakcyjnych Romeach i Juliach, czerwono-czarnych Sorelach czy choćby Aniach z Zielonego Wzgórza. Tratatata. I niech mi nikt nie mówi, że najstarszym zawodem na świecie jest inny niż wojaka, któremu urągać nie wolno. Tratatata (bis!).

Cichy Don (Warszawa 1982) Michaiła Szołochowa kończy się słowami:

„Cóż, oto spełniło się to niewiele, o czym w bezsenne noce marzył Grigorij. Stał u wrót rodzinnego domu, trzymał na rękach syna...”

To było wszystko, co mu zostało w życiu, co na razie jeszcze go wiązało z ziemią i z całym jaśniejącym pod zimnym słońcem ogromnym światem”. Dla mnie to koniec antropologii wojny. Amen.

[Wstęp i rozdział XI: *Wojna nieuchronna*, [w:] Ludwik Stomma, *Antropologia wojny*, Wyd. Iskry, Warszawa, 2014. Redakcja: Tadeusz Nowakowski; opracowanie graficzne: Janusz Barecki, ISBN 978-83-244-0382-0. Redakcja „Kontekstów” składa serdeczne podziękowania Autorowi, Wydawnictwu Iskry i Panu Prezesowi Wiesławowi Uchańskiemu za udostępnienie tych fragmentów książki i zgodę na opublikowanie ich na naszych łamach.]

To be
war
not
to be?

Mieczysław Wasilewski, *To be or not to be?*, Międzynarodowe Biennale Plakatu, 1976 – złoty medal.
(Patrz dalej tekst Mariana Oslislo, *Litera i znak*).

Pożegnanie Paryża

Wśród obowiązkowych lektur dla studentów historii sztuki, a także kierunków literackich, nie znajduję znakomitej książki Hervé Manegliera *Artyści w burdelu* (Warszawa 1999, przełożyła Anna Trznadel-Szczepanek). Wielka szkoda i większe jeszcze niedopatrzenie. Sama już lista stałych klientów domów „pod czerwoną latarnią” daje do myślenia: Daudet, Cendrars, Balzac, Stendhal, Merimée, Musset, Delacroix, Ingres, Degas, Maupassant, Toulouse-Lautrec, Flaubert, Nerval... Niewarto zanudzać nazwiskami. Czego szukali w zamtuzach? Ogromna większość spośród nich miała grona wielbicieli wszelkiego wieku, karnacji i pochodzenia społecznego, skłonnych w każdej chwili rzucić się za darmo w ramiona mistrzów. Prowokacja antymieszczkańska? Taka interpretacja byłaby błędem do potęgi. Dom publiczny jest w Paryżu „szalonych lat” instytucją integralnie włączoną w rzeczywistość burżuazyjnego świata. W słynnym „One Two Two” (burdelu na ulicy Saint-Honoré nr 122) spędzają wieczory na równi: artyści, rekiny finansjery, poczciwi i konserwatywni urzędnicy, wojskowi i prefekci, arystokraci, z większością członków rządów bez względu na barwy polityczno-ideowe) na dodatek. Na czym więc polega czar burdelu? – Wbrew pozorom nie na seksie i pikanterii. Nie na tym nawet, że spadają maski. W nagości (dosłownej i intelektualnej), pijaństwie, zapomnieniu o czekających nas gdzieś na zewnątrz uświęconych rzekomo normach, podziałach społecznych i walkach o pozycje, pieniądze lub sławę, w porywach miłosnych, które nie przetrwają chwili, co wpisane jest w reguły gry. Przemieszczamy się oto na drugą stronę zwierciadła w świat odrealniony, wolny i przekorny, gdzie wszystko jest możliwe, a słowa i obrazy mają inny, niespodziewany sens. To z burdelów wyrósł surrealizm w literaturze i malarstwie. Tam sięgają korzenie sztuki abstrakcyjnej, a wcześniej w znacznej mierze także impresjonizmu.

W Galicji Przybyszewski, Witkacy, Rydel, Wyspiański *et consortes* starają się dorównać wielkiemu światu. Chleją alas, chędożą dziewczki z Bronowic, na-

wet łapią od nich syfiliś, ale to wszystko nie to. Nawet kiła siermiężna jakaś i niepatetyczna. We Francji pisze Guy de Maupassant: „Mam syfa! Nareszcie! Prawdziwego! Nie nędznego trypra, nie mieszczańskie kłykciny (bóle reumatyczne – LS), nie, nie, wielkiego syfa, tego samego, na który umarł Franciszek I. A jakiż jestem z tego dumny. Do kroćset patrzę z góry na wszelkich mieszcuchów. Alleluja, mam syfa, więc już się nie boję, że go złapię!”. W Krakowie Wyspiański jest tak przerażony swoim syfilisem, że nawet nie pozwala się leczyć (ludzie by się dowiedzieli). W tej sytuacji kto może, chyłkiem zmyka do Paryża. Artyści kochają Paryż, Paryż kocha artystów. Na razie, tak by się zdawało, żadna chmurka nie kładzie się cieniem na słonecznym horyzoncie.

Początek wieku XX. W Stanach Zjednoczonych przybiera na sile fundamentalistyczno-religijne lobby antyalkoholowe. Już w 1906 roku osiemnaście stanów uchwała całkowity zakaz picia na ich terytorium napojów wysokoprocentowych. Na razie panuje jeszcze chaos, jedne stany się wycofują z absurdu, inne trwają przy nim i propagują go wśród stanów niezdecydowanych. Mało jest w historii reguł prawdziwszych nad tę, iż głupszy, ale zdeterminowany i umiejący demony wyciągnąć z kapelusza zawsze wygrywa. 17 grudnia 1917 wprowadza Kongres tak zwaną osiemnastą poprawkę do konstytucji USA, proklamującą powszechną prohibicję, która 16 stycznia 1920 wchodzi w życie na terenie całego państwa. Mniejsza o to, jak obłowi się na idiotyzmie Al Capone, na ile wzrośnie przestępczość i rozraduje się „szara strefa” – to są problemy rządzących i purytanów. Cóż może jednak zrobić ze sobą amerykański Przybyszewski? Odpowiedź jest tylko jedna: wiać do Paryża. Artyści kochają Paryż, Paryż kocha artystów.

Rewolucja październikowa w Rosji likwiduje wprowadzenie burdele, ale prohibicji nie wprowadza. Odpowiednie służby słuchają jednak czujnie, co wybełkocze artysta po pijaku. Szybko mija uniesienie wolności pierwszych chwil. Zaiste, trudno nie poddać się fascynacji, jak wieloma wspaniałymi manifestami artystycznymi zdołały zabłysnąć: ROSTA, kluby malarskie i literackie owych rosyjskich tragicznych dni. Ale to się bardzo szybko kończy. Już tępa łapa reżymu spada na niepokornych. Siedzicie w pritonach, kiedy świat chce rewolucji i proletariacko zrozumiałych obrazów i słów? To nie jest tak, że możecie sobie pozwalać na fantasmagorie i wasze zdegenerowane wizje. Rząd wie lepiej, jaka ma być sztuka i czemu służyć. Jesienin w rozpaczliwym proteście popełnia samobójstwo 26 grudnia 1925. Nawet Majakowskiego, tego najwierniejszego i najbardziej czerwonego, wygwizdują aktywiści. On też nie dorósł do kanonu. Świat wali się wolnym twórcą na głowy. Gdzie uciekać? Ależ w całej rozpacz jest jeszcze Paryż. Artyści kochają Paryż, Paryż kocha artystów.

Tak oto – Amerykanie uciekający tu przed prohibicją, Rosjanie przed rewolucją, Polacy przed drobnomieszczańskim zaściankiem, przyczyniają się do tego, iż staje się Paryż kulturalną stolicą świata. Nie ma w tym przesady. W jednej tylko kawiarni (barze nocnym) „la Closerie de Lilas” można w księdze pamiątkowej odnaleźć nazwiska kilkudziesięciu najważniejszych twórców współczesnej kultury europejskiej. W kłębach papierosowego dymu, oparach alkoholu, ściskając panienki z pobliskich lupanarów, przy dźwiękach jazzu, który powstał w Nowym Orleanie, ale tutaj dopiero, gdzie nie obchodziły nikogo jego czarne korzenie, uzyskał zasłużoną miarę wielkości, poeci czytali swoje teksty, malarze paprali na serwetkach, Hemingway tłukł butelki o ścianę, w czym przeszkadzał Marlenie Dietrich. I tak było, a za wyjątkiem lat okupacji pozostać mogło. Paryż kochał artystów. Artyści kochali Paryż.

Ale oto nadchodzą czasy higienistów. Jeszcze pół wieku wcześniej walczyli oni z onanistami i mańkutami, teraz równie „racjonalnie” walczą z prostytutką, alkoholem, za chwilę z papierosami... Uchwałą z 13 kwietnia 1946 skasowane zostają we Francji burdele. To jeszcze nic. Panienki wynajmują pokoiki na rue Saint-Denis, która staje się barwnym światem artystów i turystów. Niestety, higieniści nie dają za wygraną. Zakazują teraz *racolage*. Co oznacza to słowo? W największym skrócie reklamowanie swoich wdzięków. Już nie wolno dziewczynom stać na ulicy i puszczać do ciebie zachęcającego uśmiechu. Z prostytutką nikt jeszcze nie wygrał. Nie darmo mówi się o niej jako „najstarszym zawodzie świata”. Ale można oczywiście wypchnąć ją z krajobrazu miasta na zimne ulice przedmieść lub pobocza autostrady okrążającej metropolię. Tak też się stało. Współczesny Toulouse-Lautrec miałby ogromnie wiele trudności, by odmalować zziębnięte panie na bokach autostrady, bez piór, bez radości i wyzywającego folkloru. Nie ma już Pigalle, gdzie ponoć były najlepsze kasztany, nie ma Saint-Denis.

Dzielnica Łacińska była ongiś miejscem szaleństw artystów i studenterii. Przybysze z całego świata przyjeżdżali uczyć się tu denzywoltury, beztróskiego szaleństwa i pijaństwa. Aliści tłumy turystów, to także wspinały pakiet banknotów. Jarzące się światłami kamieniczki, zaćmione papierosowym dymem bistra, zaczęły więc wykupować rekiny finansjery. Całe kamieniczki. Mit to jest mit. Romantyczni idioci i tak będą przychodzić na miejsca *belle époque*, cokolwiek tu realnie dzisiaj zdarzyć się może – dotknąć tych samych bruków, poczuć się z Picassem pod pachę. Interes będzie trwał. Dla nabywców legendarnych miejsc, które zdążyli już przerobić na ekskluzywne apartamenty, jeden tylko pojawia się problem: ta dziwna populacja, która wrzeszczy po nocach, zaśmieca zaułki i spać porządnym ludziom

nie daje. Gdzie, jak gdzie, ale tutaj właśnie natychmiast i z rozkoszą interweniują higieniści. Obywatel-właściciel ma prawo spać spokojnie. Won więc z zakłócaniem ciszy nocnej i podejrzanymi spelunkami. To się nie godzi w higienicznym świecie. Kiedy zostałem profesorem Sorbony, dookoła uczelni było dwanaście kafejek, w których student i zaczarowany artysta mogli posiedzieć *skolko ugodno* przy darmowej szklance wody. Dzisiaj jest ich pięć, w tym cztery w swoistym, sztucznym rezerwacie „dawnych czasów” na place de la Sorbonne i jedna, profesorska, na rue des Écoles, gdzie lachmaniarz-artysta-student nawet nie odważyłby się spojrzeć na ceny w menu. Miejsca dawnych bistro zajęły ekskluzywne sklepy firmowe. Armani wyeliminował Monticelliego (jaka różnica, w końcu obaj Włosi), Yves Saint-Laurent – Hemingwaya, Prada – Maneta i Moneta, kto by ich zresztą rozróżniał po jednej samogłosce.

Z papierosami sprawa kolejna. Kilkudziesięciu „wybitnych” profesorów-higienistów, którym oznajmiono, iż onanizm czy leworęczność nie są już tematami aktualnymi, rzuciło się na szkodliwość tytoniu. Ja nie przeczę, że cygary to straszna ich mać. Kiedy wchodzę pod górkę z zadyszką i wypływam płuca prawie jak Waryński u Broniewskiego, czuję ich złowieszczy skutek. Ale w końcu moja wola. Pokażcie mi, nie będę już nawet wspominał Guy de Maupassanta, który z impresjonistów czy surrealistów umarł z dobrotliwej starości. Zakazano palić, higieniści twierdzą, że dla dobra niepalących, w restauracjach, kawiarniach i metrze, w urzędach i na dworcach kolejowych, w których skądinąd przeciągi eliminują każdy kłębek dymu. Zdesperowani właściciele kawiarni zaczęli urządzać ogródki, w których palacze mogliby posiedzieć spokojnie z petem w zębach. Ale nie, to higienistom nie wystarcza. Zakazać, zakazać, zakazać. Wynaleziono papieros elektroniczny, z którego opary w niczym już nie zagrażają bliźnim w pobliżu. Ale gdzie tam! Zakazać, zakazać, zakazać! Nie udało się higienistom w kwestii onanizmu czy leworęczności, teraz wydaje się im, że biorą słodki rewanż. Bardzo to dziwne złudzenie. W krajach, w których wydaje się, że zatriumfowali i wyeliminowali podłe plemię palaczy papierosów, podnoszą się nagle głosy, żeby dozwolnić palenie marihuany. W wielu stanach USA stajemy oto wobec sytuacji, gdzie papieros będzie surowo zakazany, a trawka dozwolona. Oto losy naszej cywilizacji zdominowanej przez higienistów.

Pisał Hervé Manefilier pisał o tych miejscach spotkań artystów, pełnych dymu, alkoholu i seksu, w których rodziła się nowa sztuka, a Paryż stawał się artystyczną stolicą świata. Wszystko to dzisiaj między bajki włożyć. Artyści może, z przyzwyczajenia, pokochaliby Paryż. Niestety Paryż już nie lubi artystów. Woli higienistów.